



Mirosław Derecki

MIEJSCE MIŁEJ POGAWĘDKI

„... Mieszkamy w krytycznych mieszkaniach. Zupełnie dachy pogniły leje się nam na głowy i sufity gniją klatki schodowe grożą zawaleniem... jak przyjdzie jesień, to w mieszkaniach przyjdzie się kąpać a w podwórku pływać...”

Osiemnaście podpisów

„... Melduję posłusznie panie przodowniku, że przez środek podwórka płynie śmierdzący rynsztok”.

(meldunek przedwojennego posterunkowego)

„...W wyniku pożaru, spaliła się belka stropowa, klatka schodowa w każdej chwili może runąć”.

(-) administrator domu.

Teczka dokumentów z archiwum Wydziału Budownictwa MRN. Sprawozdania komisji budowlanych i meldunki policji. Podania o przyspieszenie remontu walącego się domu, prośby o pozwolenie na dokonanie drobnych przeróbek. Ciągąca się latami walka o zlikwidowanie cuchnącego ustępu, o jakąś stertę złomu w kącie podwórza. Historia domu i jego mieszkańców. Interesujące studium charakterów ludzi i kamienic.

Budynek przy ulicy Buczka został wpisany do ksiąg wieczystych pod numerem hipotecznym Tatarska łąka nr ... Karierę swoją rozpoczął pod koniec XIX czy na początku XX wieku jako fabryka cykorii. Wkrótce znalazł w nim także pomieszczenie młyn elektryczny. Z dokumentów znajdujących się w teczce Wydziału Budownictwa wynika, że młyn często zmieniał właścicieli, a jeszcze częściej nazwę. Widocznie nie był zbyt rentowny. Po „Nowości” był „Młyn Zamojski”, a później jeszcze - „Gloria”. Zdaje się, że pod tą ostatnią nazwą przynosił właścicielom więcej chwały niż zysku. Przetrwał jednak do drugiej wojny światowej, kiedy został przez Niemców skasowany.

Natomiast fabryka cykorii szybko, bo już w okresie pierwszej wojny, została przerobiona na mieszkania. Od tej chwili wyraz „budynek” coraz częściej zastępowano wyrazem „dom”.

Dom jest cofnięty daleko za bramę wjazdową. Dostępu do niego broni błotnisty plac i nieprzyjazne spojrzenia niezbyt schludnej dozorczyni. Front domu zajmują magazyny i warsztaty

rzemieślnicze. Sterty żelaza, komórki i śmietniki dopełniają widoku. Brudną, odrapaną ścianę budynku tam gdzie najwięcej kałuż i błota, przerywa nagle ciemny otwór. To druga brama. Przez niski śmierdzący tunel, którym kiedyś wyjeżdżały wozy z mąką, wchodzi się na właściwe podwórko, mały niebrukowany plac, zamknięty ze wszystkich stron kilkupiętrowymi murami.

„Podwórko jak z włoskich filmów” - wyraził się o nim jeden z mieszkańców domu. Miejsce spotkań i wypoczynku. Miejsce miłej pogawędki. Kłótni i awantur, do których z reguły przyłącza się cała kamienica. Miejsce czujnej obserwacji dla wszystkich gospodyń. Tutaj, na sznurach rozwieszonych przez całą długość podwórka, najlepiej schnie bielizna. Tutaj, z czterdziestu zapluskwionych mieszkań, zbiegają się dzieci na wspólne zabawy. Podwórko – pępek świata ubogich.

Czworoboczna zabudowa pozwala zaglądać w okna sąsiadów. Życie mieszkań widać doskonale. Dawne hale produkcyjne zostały podzielone cienkimi drewnianymi przepierzeniami na płataninę mieszkań – klitek. Doskonale słycać każde głośniejsze wypowiedziane słowo w sąsiednim mieszkaniu. Tak więc, nie ma w tym domu tajemnicy. Wszyscy wiedzą wszystko o wszystkich. Tutejsi mieszkańcy to w większości robotnicy, stróże nocni, drobni rzemieślnicy i tacy, których źródła zarobków trudno bliżej określić. Po powrocie z pracy zamykają się w czterech ścianach swojego podwórka. Rzadko chodzą do kina, książka nie jest dla większości rozrywką. Same tylko plotki i awantury nie wypełniłyby życia. Dlatego pod bokiem istnieją innego rodzaju „atrakcje”. Gdzieś w pobliżu, otoczony tajemnicą, solidarnie strzeżony przed niepowołanymi oczyma prosperuje tak zwany „burdelik dla biednych”, do którego wstęp mają tylko wtajemniczeni. Dwoje starszuchów daje przytułek „kuzynkom i siostronom ciotecznym”. Kilka z nich mieszka na stałe, kilka „dochodzi”. W okolicy można spotkać także wódkę „po cichutku”. „Punkt sprzedaży” jest czynny tylko w nocy. Litr wódki waha się wtedy w granicach trzystu złotych.

Zajrzyjmy do niektórych mieszkań.

Zofia codziennie o szóstej rano, bez względu na porę roku, wychodzi na plac targowy na Podzamczu. Ta czterdziestoletnia kobieta handluje czym się da. W okresie Wielkanocy są to baranki z gipsu i baze, kiedy indziej świeczki na choinkę albo lampki na groby. Kupowaną w aptece watę rozklepuje na cienkie płaty i tak spreparowaną sprzedaje „na kołdry”. Groszowe zarobki muszą wystarczyć na utrzymanie rodziny. Mąż Zofii, Józef był kiedyś murarzem. Po wypadku na budowie został inwalidą. Ma sztywną nogę. Pomimo że mógłby znaleźć łatwo jakieś zajęcie, nie chce więcej pracować. Uważa, że jego kilkusetzłotowa renta inwalidzka stanowi dostateczny wkład w utrzymanie rodziny składającej się z pięciu osób.

Około godziny szóstej wieczorem Zofia wraca do domu. Po drodze za zarobione pieniądze kupuje kartofle (przez cały tydzień rodzina żyje kartoflanką, tylko w niedzielę jedzą „mięso” z wymion krowich), papierosy i koniecznie butelkę „polskiego barszczu” - najtańszego czerwonego

wina owocowego. Oboje, mąż i żona, są notorycznymi pijakami. Wódki jednak nie piją, „Berbelucha” całkowicie zaspokaja ich potrzeby. Kiedy kilka miesięcy temu ciężko chora Zofia przebywała w szpitalu, personel nie mógł zrozumieć, jak to się dzieje, że niemal codziennie jest nienaturalnie podniecona. Wreszcie okazało się, że „troskliwa” rodzina w czasie wizyt przemyślała w termosie „herbatkę”.

Trójka dzieci pozostawiona jest własnemu losowi. Podobno kiedyś chciała je zabrać do Domu Dziecka Opieka Społeczna, nie wiadomo z jakich powodów zamierzenie to nie zostało nigdy zrealizowane. Najstarsza, dwudziestoletnia córka zmarła niedawno po Heine-Medina. Dwoje najmłodszych – dziewięcioletni Janek i trzynastoletni Stasia – pomagają matce w handlu. Do ich obowiązków należy także kupowanie i przynoszenie do domu alkoholu, kiedy rodzice urządzą jakąś większą „libację”.

Jest jeszcze jedna córka. Ale ta bierze niewielki udział w życiu rodziny, Szesnastoletnia dziewczyna, „ochrzczona” przez sąsiadów przezwiskiem „Głupia Maniuśka”, do późnej nocy przebywa poza domem. Szuka towarzystwa mężczyzn. Gorzej, że i młodsza siostra (zupełnie normalna) zaczyna podobno powoli wstępować w jej ślady.

„Jak się baby nie bije, to w niej wątroba gnije” - twierdzi Józef. Zasadę tę wprowadza w czyn dość często. Zofia od czasu jednej z bójek nie słyszy na lewe ucho.

Bywają chwile, kiedy żona z takich czy innych względów zaczyna ograniczać dostawy alkoholu. Wtedy, jeżeli groźby, przekleństwa i bicie nie pomagają, Józef ucieka się do szantażu. Wykazuje w tym względzie niespotykaną pomysłowość. Na przykład zimą, podczas największych mrozów zalewa w kuchni palenisko, otwiera okna oraz drzwi do niezamieszkałego lodowatego pokoju nazywanego przez rodzinę „izbą wytrzeźwień”, zdejmuje koszulę i z zadowoloną miną spaceruje po mieszkaniu. Dzieci marzną. Nie wolno im jednak ogrzać się u sąsiadów. Po kilku minutach Józef uzyskuje zamierzony skutek. Żona przynosi butelkę wina.

Ci ludzie twierdzą niekiedy, że się kochają. Ona, ciężko chora, utrzymuje cały dom, on zdając sobie doskonale sprawę z jej stany zdrowia obrzuca ją epitetami w rodzaju - „ty raku...”

Obok nich mieszka inne małżeństwo. A raczej byłe małżeństwo. Nie mogli ze sobą wytrzymać – wzięli rozwód. Każde zaczęło urządzać sobie życie po własnej myśli. Pomimo rozvodu muszą jednak mieszkać pod jednym dachem – trudności mieszkaniowe. Często zagląda tutaj milicja.

U innych... Najstarsze dziecko ma siedem lat. Pomiędzy wiekiem każdego z pozostałych pięciorga nie ma więcej jak rok różnicy. Ojciec ma lat trzydzieści, matka dwadzieścia osiem. Żona zajmuje się domem i dziećmi, mąż zarabia tysiąc dwieście złotych miesięcznie.

Dwie ostatnie rodziny są jak najbardziej typowe. Mało się o nich mówi. Lepiej opowiadać na podwórku o innych, o wiele bardziej atrakcyjnych.

– Proszę pana – sąsiadka opowiada z błyskiem w oczach – jak on poszedł do więzienia,

zakochała się w jego bracie. On jakoś wcześniej wrócił z tego więzienia, jakaś amnestia czy tam co i złapał ich „na gorącym uczynku”. To on ją ma się rozumieć wyrzucił z domu, ale później sprowadził z powrotem, tak ją kochał, ale powiedział, że żył z nią nie będzie. To ona powiedziała, że jak tak, to ona też nie. No i nich pan sobie wyobrazi, cztery lata już przeszły i nic. Mówią, że im ambicja nie pozwala. Honorowi.

Podwórka są podszewką ulicy. Za tynkowanymi fasadami jej domów toczy się często całkiem odrapane życie, którego nie można przeniknąć i opisać dokładnie. Co najwyżej, można sporządzić szkic sytuacyjny. Mieszkańcy tych podwórek są podejrzliwi. Twierdzą, że jest im dobrze z tym, co mają. Czasem jest to wstyd przed ukazaniem ciężkich warunków, w jakich żyją. Często jednak za upartym, solidarnym milczeniem kryje się przestępczość.

Trzeba bardziej zwracać uwagę na miejsca miłej pogawędki.

Pierwodruk: „Kamena”, 1961, nr 11, s. 6.